



## Śniło mi się “KINO”... Postscriptum\*

I dreamed about “CINEMA”. P.S.

**Abstract:** The text is an experimental combination of a scientific essay and reportage – a kind of literary field study. Following Wojciech Prażmowski’s photographs, the author travels to Solec-Zdrój in search of the place where the “KINO” once stood, as described in Andrzej Stasiuk’s *Going to Babadag*. Reconstructing the history of this building, the author rereads a key passage from the novel through the lens of Borges’s figure of the Alef.

**Keywords:** ruins, Andrzej Stasiuk’s travel prose, ruins melancholy, ruins mysticism

Od ciebie, przechodniu, zależy, czy będę grobem, czy skarbem.  
Czy będę milczał, czy będę mówił.  
Od ciebie zależy, przyjacielu: nie wchodź tu bez pożądania.

Paul Valery<sup>1</sup>

Postanowiłem wybrać się w małą podróż do Solca, żeby w jakimś stopniu powtórzyć doświadczenie Andrzeja Stasiuka, choć wiedziałem, że na miejscu nie zastanę zbyt wiele z tego, jak opisana została ta miejscowość w *Jadąc do Babadag*, że przecież nie będzie “Kina”, ku któremu cała ta książka ciąży. Krótko mówiąc, że raczej nie będzie szansy na odtworzenie czegokolwiek. Ale sama droga wydała mi się konieczna, albo może po prostu ważna, interesująca.

Dobrze, przyznać muszę od razu, że jakiegoś rodzaju magiczność myślenia także i moim jest udziałem. Jeśli miejsce to w jakiś magnetyczny sposób przyciągnęło pisarza, a w nim dokonało się mitopoetyckie przetworzenie<sup>2</sup>, to w myśl platońskiej koncepcji wyłożonej w *Ionie*<sup>3</sup>, pewien element takiego

---

\* Artykuł stanowi swoiste dopełnienie tekstu “Jadąc do... kina w Solcu. Uwagi o ruinach w prozie Andrzeja Stasiuka”, który ukazał się w poprzednim numerze *Er(r)go* 51, nr 2 (2025).

1. Paul Valery, *Inskrypcja na frontonie Pałacu Chaillot*.

2. Zob. Hans-Georg Gadamer, “Mitopoetyckie odwrócenie w ‘Elegiach duinejskich’ Rilkego”, przeł. Małgorzata Łukasiewicz, *Literatura na Świecie* 10 (1979), 8–10.

3. Platon, “Ion”, przeł. Władysław Witwicki, w: *Ion. Charmides. Lizys*, przeł., wstępem i objaśnieniami opatrzył Władysław Witwicki (Kęty: Wydawnictwo ANTYK, 2000), 17.

oddziaływania powinien jeszcze w tym miejscu rezonować. W końcu dlaczego odtwarzamy mity w czas święta? Żeby doznać siły (może nawet przemiany) płynącej z jakiegoś rodzaju energii odtwarzania tego, co *in illo tempore*. Cóż z tego, że ten “swój” czas ustanowił pisarz, czyż nie można mu “zawierzyć”, jak pierwotnym Bóstwom, Muzom i tym, którzy “czarodziejskie rejestry” przekazywali dalej, prorokom, ewangelistom, a na końcu tego długiego wianuszka entuzjastów, jak mówi o nich Platon, także współczesnym mędrcom, mistykom, skrybom?

Utwierdzało mnie co do tego, że przejechać się warto kilka zdań z tekstu Elżbiety Rybickiej, z którego wynika, że jednak takie szukanie śladów literackich metamorfoz realnej przestrzeni nie jest zgoła naiwnością, że napędza je przeświadczenie pozornie tylko prostoduszne o tym, że

kulturowe reprezentacje miasta tworzą krajobraz, w którym żyjemy, są więc niezbywalną częścią naszego doświadczenia i naszej rzeczywistości. Nie chodzi tu bowiem o naiwny mimetyzm, unieważniający fikcyjne ramy dzieła, lecz o performatywny wymiar literatury i artefaktów kulturowych. Wykraczają one wszak poza imaginacyjny status i wkraczają w rzeczywistość, kształtując nasze wyobrażenia topograficzne i nasze mapy świata<sup>4</sup>.

Ale po otwarciu mapy okazało się, że dotarcie do Solca nie będzie wcale łatwe, jest bowiem kilka miejscowości o tej nazwie. Znając inklinacje samego pisarza, założyłem, że może to być któryś z Solców w Świętokrzyskiem (Zdrój lub nad Wisłą). A ponieważ Andrzej Stasiuk bynajmniej nie dokonywał precyzyjnej inwentaryzacji miejsca, w którym ruina “Kina” onegdaj (tak, nie żywiłem przekonania, że odnajdę tę samą lub podobną bryłę, której sfotografowany fronton ozdabia ostatnią stronę okładki *Jadąc*; wystarczyłoby mi, aby uruchomić ten sam zmysł, który autor *Wschodu* wprowadził w ruch przed “Kinem” po prostu stanąć na tym właśnie miejscu) się znajdowała<sup>5</sup>, postanowiłem udać się wprzód do źródła, pisząc mejla o takiej treści:

---

4. Elżbieta Rybicka: “Geopoetyka (o mieście, przestrzeni i miejscu we współczesnych teoriach i praktykach kulturowych)”, w: *Kulturowa teoria literatury. Główne pojęcia i problemy*, red. Michał Paweł Markowski, Ryszard Nycz (Kraków: Universitas, 2006), 483.

5. Por. Małgorzata Nieszczerska, “Archiwum opuszczonych miejsc”, *Kultura Współczesna* 4 (2011), 161–162.

Andrzej,

mam prośbę, powiedz mi, gdzie jest u licha ten Solec, w którym oglądałeś kino o nazwie "Kino", w którym można było zagrać we wszystko raz jeszcze?

Chcę tam pojechać. Piszę tekst na ten temat. O tym przedostawaniu się przez to, co nie do końca już żywe gdzieś na drugą stronę.

Ślęczę nad mapą i tym fragmentem z *Jadąc...* Piszesz, że skręcasz z drogi 777 w prawo. Ale z tej drogi nie ma skrętu na Solec. W ogóle nie ma Solca, jest tylko Solec nad Wisłą (a może tak się teraz nazywa ta miejscowość? A jak do niej jechałeś to był tylko Solec, chociaż jest nad Wisłą?). I do niego można dostać się, skręcając z drogi, ale nie 777, tylko 747. Może się pomyliłeś w JB? A może w ogóle to nie jest ta miejscowość? Tylko jakiś inny Solec? Zdrój na przykład. A może jednak to po prostu zmytowałeś. I nie ma takiego – jak u Barei – miasta Solec? :-)

napisz słówko, chciałbym się powłóczyć, pospać w przydrożnych hotelach i popisać, serdecznie Cię ściskam,

[Adrian]

Odpowiedź przyszła dość szybko:

...chyba Solec-Zdrój... ale nie mam pewności, bo jak byłem tam po latach, to jakieś wypasione uzdrowisko się zrobiło. Nawet kina nie chciało mi się szukać. Wtedy, dawno, wyglądało już na tak stare, że mogli je po prostu zburzyć. Ale zawsze można popytać.

Jest jeszcze Solec nad Wisłą. Raczej bez kina, ale z przepięknym widokiem ze skarpy na pradolinę rzeki. On jest znacznie ciekawszy przez pewne opuszczenie, poboczność. Jeden od drugiego o 2 godziny jazdy...

[AS]

Więc jednak Solec-Zdrój. Albo raczej. Na pewno bardziej prawdopodobny. Przeszperałem sieć. W Solcu-Zdroju kino było, ale nieczynne od przeszło trzech dekad, a na jego miejscu mieści się ponoć kawiarnia artystyczna<sup>6</sup>. Skoro tak, to może nie zburzyli, tylko palimpsest się z tego zrobił po rewitalizacji (tak to wygląda na mapach dostępnych w sieci) i spod warstw będzie przeziierać jednak jakiś uchwyt dla wyobraźni? Wprawdzie nijak nie zgadza się numer drogi (pamięć pisarza mogła zawieść, sprawdzić wszystkie drogi, zwłaszcza

---

6. Marta Gajda-Kruk, "W Solcu kuracjusze nie będą się nudzić. Pójdą do... kina", <https://radiokielce.pl/484013/post-93838/> (12.02.2024).

te “zółte”, czy się pokrywają później w opisie z mapą, to niemożliwość; poza tym przecież ani *Dukla* nie jest przewodnikiem turystycznym po mieście, ani *Jadąc* – po Europie Środkowo-Wschodniej), ale bardziej prawdopodobny był ten Solec-Zdrój niż jego imiennik nad Wisłą.

Jechać, nie jechać? – pytałem sam siebie (jak Gombrowicz w *Pornografii*). Przejechać taki szmat drogi, aby stwierdzić, że to jednak fałszywy trop? Postanowiłem jeszcze uruchomić dwa inne źródła. Napisałem list do autora fotografii, Wojciecha Prażmowskiego, oraz do Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego w Solcu-Zdroju. Odpowiedź w porę nie nadeszła, cóż, trzeba było wyruszyć w ciemno i liczyć, że jaśniej zrobi się na miejscu. W końcu ta jazda miała być, parafrazując Białoszewskiego, sprawdzeniem naczelnej dla Stasiuka metafory styku z nieskończonością.

\* \* \*

Od pierwszego wejrzenia wiedziałem, że to tu. Mimo wątpliwości samego pisarza. Stałem przed Cafe Artystyczną (tak nazywa się dziś to miejsce) pod wieczór. Zjechałem od strony “kościółka na wzgórku”, gdzie niegdyś “wszystko się kończyło” (a teraz rozciąga się stąd widok na rozrastające się w zupełnie niekontrolowany sposób uzdrowisko; domy sadzone w szczyrych polach dalej jednak sprawiały wrażenie przypadkowych i tymczasowych, podrzuconych tutaj na chwilę). Wszystkie intuicje znalazły naraz swoje potwierdzenie w jakimś aksjomacie przeczucia. Gdy oglądałem zdjęcie Prażmowskiego i porównywałem z “fotkami” z Google Maps dzisiejszej, posadowionej na ul. Kościuszki kawiarni, trudno właściwie było mieć większe wątpliwości: łuk dachu wieńczący fronton budynku rymował się z tym, który niegdyś posiadało “Kino”, a logo na neonie Cafe Artystyczna wpisane było we wzór przywodzący na myśl filmową taśmę.

Zanim wszedłem przez dwuskrzydłowe (nadal) drzwi, obszedłem budynek wkoło. W środku było jak w świetlistej kapsule, czuć było, że jest tam ciepło i panuje delikatny bezruch. Zajrzałem do środka, przy barze siedział jeden tylko człowiek, wpatrując się zupełnie nieprzytomnym wzrokiem w witrynę.

Siadłem na ławce przy skwerze. Tężący zmrok, w który wżynał się blask neonu i świateł kawiarni, miał w sobie ciężar tajemnicy. Na placu przed budynkiem ktoś wznosił na oko trójmetrową iglicę, robiąc zegar słoneczny, który teraz rzucał kilka cieni od lamp okalających skwer. Obroty rzeczy, obroty miejsca – trzeba będzie być blisko, pokrażyć wokół o różnych porach, pomyślałem.

\* \* \*

Po chwili już słucham opowieści J. (chce być ukrytą pod zasłoną inicjału), właścicielki kawiarni, która w 2006 odkupiła ten budynek od gminy i postanowiła urządzić to miejsce od nowa. Nabieramy do siebie zaufania po kilku minutach rozmowy, kiedy udaje mi się zapewnić, że nie jestem ani szalony, ani nie mam zamiaru dowodzić, że mógłbym być rzekomym spadkobiercą tych terenów, wszak to wszystko były działki należące przed wojną jeszcze do całkiem prężnie działającej i żyjącej tutaj diaspory żydowskiej...

J. rozciąga ramiona i rozsuwa się ekran, który znajdował się, jak zapewnia, dokładnie w miejscu, gdzie usytuowany jest bar. Do środka wchodziło się po kilku schodach, może dwóch, a może trzech. Ze zdjęcia Prażmowskiego wynikałoby jednak, że trzech. Na innym, do którego dotarłem, zawarłem w albumie *Solec-Zdrój. Wczoraj i dziś* (Kielce – Solec-Zdrój 2008) pod redakcją Małgorzaty Helis, nie sposób tego dojrzeć, bowiem wejście do “Kina” zastawione jest furmanką, do której zaprzężono jakiegoś gniadego. J. pokazuje mi obraz namalowany przez Leszka Kurzeję (zmarłego artystę malarza pochodzącego z Buska) w 2010 roku, a także urokliwą akwarelę na drewnie z roku 2009 (podpisaną inicjałami MK), którą J. dostała w kilka lat po uroczystym otwarciu (28 kwietnia 2016) Cafe Artystycznej. Na obydwu malarskich przedstawieniach są tylko dwa stopnie... No, dobrze, z fotograficzną reprezentacją dyskutować nie można, jej realistycznego statusu i działania nie da się podważyć.

Więc wchodziło się do środka, a tam następował lekki spadek, żeby wyprofilować ustawienie rzędów zespawanych, obitych czerwonym pluszem foteli. J. twierdzi, że własnoręcznie rozcięła je palnikiem, a kilka z nich wciąż jeszcze znajduje się w tutejszej remizie. Może powinienem przysiąc na jednym z nich, ale już widzę twarze strażaków, kiedy tłumaczę, po co zaszedłem do ich przybytku. Projektora też nie zobaczę; dawny pracownik “Kina” wywiózł go samowolnie (J. nigdy mu tego nie wybaczy) do Austrii i tam spieniżył wraz z wieloma taśmami filmowymi; chwalić się miał później J., że wszyscyutkie pieniądze – z żalu za utraconym miejscem, profesją i by uśmierzyć dolegliwości pamięci – przepił co do feniga.

Ale kotara... Wyobrażam sobie, słuchając opowieści J.: okalające zewsząd widownię story rozsuwają się po skończonym poranku z bolkami-lolkami i wynurzyć trzeba się z ciemni, wpadając wprost w oślepiające strugi słońca – tylnym wyjściem po schodach z antresoli (J. zachowała je specjalnie i gdy znajdziecie się po lewej stronie budynku, możecie sobie to wyobrażać bez ograniczeń), w tak zwany świat. Zresztą i sama antresola – na której królował niegdyś projektor i jego strażnik, który ostatecznie postanowił zamienić go na

wódkę i przepuścić przez siebie – przetrwała, bowiem J. organizuje na półpiętrze wystawę obrazów.

\* \* \*

“Sama wycinałam te wierzby. Po lewej na zdjęciu [Prażmowskiego] już ich nie widać, bo ono tak z ukosa zrobione, z prawej na lewo. Ale, o tu, widzi pan?, po prawej stronie, taki gąszcz wlewający się na fasadę, na dach zachodzący... To były wierzby. ‘Obok rosła wierzba’ – tak napisał. Kilka ich było. Z siostrą ścięliśmy same. A po lewej to zostawiłam pnie na pamiątkę. Piękne, prawda? Puste...”

Mówi dużo, choć introwertyzm ma wypisany na twarzy, która zwrócona jest właściwie tylko do siebie samej. “Mam swój egzemplarz *Jadąc*. Znam prawie na pamięć ten ustęp. Ale dostałam książkę od kogoś, kto pierwszy się tu zjawił i powiedział mi o tym, że pisarz był w tym miejscu. To już po tym, jak kupiłam ‘Kino’. Wielu zresztą przyjeżdżało, nie umiałabym zliczyć. Szczytany strasznie, ale w twardej oprawie, przetrwa jeszcze trochę”.

\* \* \*

“Kino” dla J. ma nadal swoje tajemnice. Nie wiadomo na przykład, kiedy zostało zbudowane. “Co by pan obstawiał? Jakie lata? Dwudzieste, trzydzieste, co nie? Jakies niby art déco, chociaż z jakimś socem jakby zmieszane, a może jeszcze czymś innym... Nie mogłam się niczego dowiedzieć. Zmowa milczenia. Niczego nie ma w księgach wieczystych, niczego pewnego. Niesamowite, co nie? Ludzie mówią, ci najstarsi, że to była jakaś połowa lat 50., jak to wzniesli. Przecież to była ciężka komuna, chyba nikt nie bał się roszczeń ze strony wywłaszczonych? A może jednak się bali? No, niczego się pan nie dowie, próbowałam wiele lat”.

“Kino” o tautologicznej nazwie, idealnie ze sobą tożsame zatem, któremu “wystarczyły najprostsze nazwy” przestało działać w dziewięćdziesiątym siódmym. I stało tak sobie jeszcze przez piętnaście lat. Nie wiem w sumie, kiedy stanął przed nim pisarz. Ani tego, kiedy zrobił mu portret artysta-fotograf. Może był tam, kiedy “Kino” w pełni zasługiwało na swoją nazwę? Na frontonie, w prawym dolnym rogu, znajduje się gablota, w której zapewne wywieszali, co będzie grane.

\* \* \*

To najbardziej niesamowity wątek. Słuchałem i nie chciałem wierzyć, choć zapewniłem, że wierzę, bo co było robić. J. mówi, że śniła o tym, będąc

w Skandynawii, że przechadza się po pustej sali “Kina”, że zagląda w każdy zakamarek. Śniło jej się tak długo, aż w końcu uznała, że tak ma być, że już dobrze, że trzeba w coś wierzyć. Więc przyleciała, kupiła budynek, teren, sama wszystko karczowała, ścinała, burzyła.

A teraz śni się jej ten projektor po nocach, ten sprzedany i przepity.

\* \* \*

Co ciekawe, Cafe Artystyczna wzniesiona została na nowych fundamentach, lecz jeden jej wymiar, szerokość budynku, pokrywa się w zupełności z tym, w ramach którego istniało “Kino”. Bryła kawiarni w stosunku do swojego pierwotnego poprzednika została podniesiona i wydłużona. Mylące jest więc wrażenie, które odnieść można, stając przed dzisiejszą Cafe i porównując ją z fotografią Prażmowskiego czy innymi reprezentacjami, jakoby budynek pierwotnie był szerszy (i to znacznie). “Chciałam mieć tę antresolę, żeby do niej wchodziło się jak do tej kanciapki, gdzie siedział na trójnogu ten ochlapus, wyświetlający cuda”. Wejść tam dzisiaj – dla obrazów zgromadzonych natenczas w galerii kawiarni, ale i dla widoku, który miał mistrz ceremonii “Kina”, szarlatan i pijus, a może po prostu nieuleczalny melancholik.

Kiedy “Kino” istniało, było idealnie przezroczyste, spełniało pokornie swoją rolę i nikomu nie przyszło do głowy, aby nim się zainteresować. Potem stało się ruiną, fascynującym, estetycznym obiektem, do którego ciągnęli wyznawcy kultu artystycznej, narracyjnej restauracji.

I tylko jednej J. przyszło do głowy, żeby podźwignąć to miejsce. “Pamiętam dobrze, jak walił się ten dach, jak żeśmy paznokciami darły to trzcinowe sklepienie”. Bo to było dzieło socjalizmu, tego eksperymentu, który miał – jak świetnie napisał Stasiuk we *Wschodzie* – unieważnić wszelką materię.

\* \* \*

Solennie przepisuję daty, które J. dla mnie sprawdziła. W styczniu 2006 firma założona przez nią wygrywa przetarg i J. nabywa na własność budynek “Kina” i działkę, na której jest ono posadowione. Roboty ruszają od razu i w czerwcu 2009 kino przepoczwarza się w kawiarnię, na razie będąc w stanie surowym otwartym. Kilka trudnych lat jednak dla J. musi upłynąć, podczas których raz jeszcze wygrywa, tym razem z nowotworem, aby domknąć budowę. Od jesieni 2015 “Kino” ostatecznie przemienia się w Cafe Artystyczną. Wystawiają się pierwsi artyści, a J. wystawia, jak mówi, swoją pierwszą fakturę.

Skurczył się więc nieco czas, kiedy “Kino” było transmitters kosmicznych treści. Przestało działać w 1997, J. ruszyła z budową w 2006, być może

już w tym samym roku nie pozostał kamień na kamieniu po dawnej budowli, tego nie jest pewna, ale raczej tak było. Dziewięć lat. *Jadąc* ukazało się po raz pierwszy w 2004. Układanie książki, korekty, proces wydawniczy – rok jak nic. “Od dawna nic nie grali i nikt nie przychodził”. Od jak dawna? “W gablocie wisiały jakieś resztki”. A gdy Andrzej Stasiuk stanął w tym miejscu, było jak na fotografii. “Może było nawet bardziej martwe niż na zdjęciu”. Na fotografii zrobionej przez Prażmowskiego gablota jest, można dojrzeć zmurszały, pożółkły papier (afisz ostatniego seansu?). Może artysta był tam tylko trochę wcześniej? I już wtedy jednak “Kino” udawało samo siebie, stwarzając pozory?

Tak, przepytuję pod względem faktów książkę, która przecież nie jest dokumentem czasu, jest dokumentem wyobraźni, a ta nie zna granic, zwłaszcza czasowych. No, dobrze, więc musiało to być między dziewięćdziesiątym siódmym/ósmym a dwa tysiące trzecim. Wciąż średnio konkretny to zakres.

\* \* \*

A przecież i mnie dopadła od samego początku, i dreszcz wzbudzała, choć luty ciepły jak nigdy tego roku, myśl, że to miejsce, za którym coś jest, że coś ono zasłania, coś skrywa. Jechałem tutaj i zastanawiałem się, czy jestem dość odważny i wystarczająco stary, żeby już owo coś pojąć czy raczej poczuć. Bo jakie można mieć pojęcie? To mogłoby się wydarzyć w jakiejś intelektualnej podczerwieni, w jakimś bezgłośnym wolapiku, z którego niewiele dałoby się w ogóle wywieść.

Stanąłem tutaj wczoraj, miejsce zatapiało się w ciemności, ale uparcie świeciło, a ja... z miejsca czułem, że coś tu się zakrzywia, jak te cienie z różnych lamp na iglicy czasu, że wprawdzie jasności jak na lekarstwo, ale że kosmos przemawia tutaj z jakąś niezwykłą, nieodpartą siłą, że duch tego miejsca się nie ulotnił, że nie był złączony ani z ekranem, na którym wyświetla się film z nudą ciągłości życia, złymi dialogami i w ogóle wszystkim, co było; więc nie z ekranem, i nie z kamieniami, które z natury są zimne i zamknięte, odporne na to, by świadczyć, raczej śmieją się z nas, z naszej niestałości i tęsknot, i ciekawości czystej; właściwie wszystko tu się wymieniło, obrys bryły, powietrze, obłoki, wymieniło się wszystko, wszystko, ale nie... miejsce, przypominał mi nagle słowa Prażmowskiego z dokumentu *Pod drzewem*<sup>7</sup>. Tak, miejsce. To jest to miejsce. Mimo że nie mieści się w nim nic, co się wprzódy mieściło. Więc musi być, że – duch, “geniuszek miejsca”, jak to nazwał

---

7. “Pod drzewem”. Wojciech Prażmowski, reż. Paweł Dusza, <https://www.youtube.com/watch?v=VuAouHSEDhE> (4.03.2024).

kiedys prześmiesznie Białoszewski. Że duch mieszka sobie tutaj nadal. Myślę o J. i nie mam najmniejszej wątpliwości!

\* \* \*

To, jak Stasiuk widzi “Kino” i okalające je przyległości, przypomina borgesowskiego Alefa. Nic specjalnie odkrywczego, prawda. Ale nikt tak jeszcze tego ustępu nie przeczytał. A szkoda. Bo przecież w “Kinie”, gdy je otworzyć, jest też ten przesmyk, kąś, załamane, czy jak to nazwać, “którego wszyscy i zawsze szukali”, “gdzie zaczyna się...” – po prostu wszystko, co było, a co, dzięki Alefowi właśnie, jest.

\* \* \*

O figurze labiryntu u autora *Fikcji* najpiękniej, najwięźle i najtrafniej napisał Octavio Paz:

poprzez niekończące się wariacje i obsesyjne powtórzenia Borges zgłębiał niestrudzenie jeden temat: człowiek zagubiony w labiryncie czasu utworzonego ze zmian, które są powtórzeniami, człowiek, który sam siebie unicestwia, przeglądając się w lustrze wieczności bez twarzy, który odnalazł nieśmiertelność i zwyciężył śmierć, ale nie czas i starość<sup>8</sup>.

Całe *Jadąc* jest przecież błędzeniem, które sprowadza się do nieco mimowolnego, a w każdym razie niewystudiowanego, aktu finalnej podróży do Solca (Zdroju), w którego “Kinie” otwierają się drzwi percepcji i działa duch skupienia, okazujący się rodzajem logosu, bo ten jest niczym innym jak tylko, pisali Michel Fattal i Manfred Sommer<sup>9</sup>, doświadczeniem zbierania i utrwalania, przynajmniej taką właśnie obietnicę w sobie zawiera.

Tak, oczywiście, bohater *Jadąc* nie unicestwia ani siebie, ani myśli! Ale już z tym zwyciężaniem śmierci – to strzał w dziesiątkę. W końcu to była ta atawistyczna motywacja, która pchała narratora *Jadąc* do Solca, gdzie śmierć można troszkę zwieść, bo rzeczywistość nieco ją przypomina. Tak to już w tej części kontynentu jest, więc łatwiej nam – pisze Stasiuk – umierać. Mniej lęku, mniej żalu.

---

8. Octavio Paz, “Portret Jorge Luisa Borgesa. Łucznik, strzała i cel”, przeł. Grażyna Sławińska, *Literatura na Świecie* 12 (1988), 12.

9. Michel Fattal, *Logos: między Orientem i Zachodem*, przeł. Piotr Domański (Warszawa: Wydawnictwo IFiS PAN, 2001), 7–9; Manfred Sommer, *Zbieranie: próba filozoficznego ujęcia*, przeł. Jarosław Merecki (Warszawa: Oficyna Naukowa, 2003), 9–11.

\* \* \*

Alefa można opowiedzieć, ale nie można go, jak pamiętamy, u-twierdzić. Jest nieprzekładalny. I to, co nam wydaje się czytelne i nie wymaga komentarza, staje się tylko i jedynie tegoż przedmiotem.

Jak przekazać innym – zastanawia się narrator borgesowskiego opowiadania – nie-skończonego Alefa, którego moja trwoźna pamięć zaledwie obejmuje? Mistycy, w analogicznej sytuacji szafują symbolami, pewien Pers mówi o ptaku, który w jakiś sposób jest wszystkimi ptakami; Alanus de Insulis, o jakiejś kuli, której środek jest wszędzie, a obwód nigdzie [...] <sup>10</sup>.

I tak dalej. Literatura to mnożenie figur niemożności. Albo własny przekład i nadzieja, że ktoś poczuje tego “mojego Alefa”. Więc uwierzyć trzeba, że jest tu wciąż “wszystko, co już było, lecz trwałe, niezniszczalne i bez końca” <sup>11</sup>. Albo stanąć tu, jak J., rozkopać wszystko do imentu. I, czując, że to jest TO miejsce, zacząć wszystko jeszcze raz od początku, po swojemu. To na pewno wymagało większego hartu niż jazda do Solca-Zdroju w zimie, która zimą już właściwie nie jest, teraz czy przed mniej czy więcej ćwiartką wieku.

\* \* \*

Pewnego razu mag polskiej poezji, Tymoteusz Karpowicz, “wystąpił” z jednym ze swoich rozwichrzonych wykładów, którego transkrypcja ogłoszona została pod tytułem *Skrzydlaty Alef* w trzecim tomie zebranych niedawno przez Joannę Roszak i Jana Stolarczyka *Esejów* tego największego ezoteryka w XX-wiecznej polskiej literaturze.

Najpierw przypomnijmy oryginalną “definicję”:

Alef jest jednym z punktów przestrzeni, który zawiera w sobie wszystkie inne. [...] miejsce, w którym, nie łącząc się ze sobą, każde z osobna, znajdują się wszystkie miejsca świata, widziane ze wszystkich możliwych punktów. [...] Skoro wszystkie miejsca są w Alefie, są tam także i wszystkie jasności, wszystkie latarnie i wszystkie źródła światła <sup>12</sup>.

---

10. Jorge Luis Borges, “Alef”, w: *Historie prawdziwe i wymyślone*, przeł. Andrzej Sobol-Jurczykowski (Warszawa: Wydawnictwo MUZA, 1993), 142.

11. Andrzej Stasiuk, *Jadąc do Babadag* (Wołowiec: Wydawnictwo Czarne, 2004), 316.

12. Borges, “Alef”, 144.

Pierwsze zdanie zaś wykładu Karpowicza brzmi tak:

Nie jest wykluczone, że prawie wszyscy poszukują własnego Alefa, to znaczy miejsca jedyne, ustabilizowanego, zakotwiczonego, może nawet *glebae adscripti*, przypisanego do ziemi, gdzie mają zrealizować się wszystkie zamierzenia, wszystkie pomysły życia, czy w ogóle całe drzewo życia ma się w tym punkcie zmieścić [...] <sup>13</sup>.

Takie ujęcie Alefa, statyczne, jak powie Karpowicz, jest według autora *Odwróconego światła* złudzeniem (albo przynajmniej jemu tak się wydaje). Prawdziwego Alefa – dość mocno skracam w tym miejscu meandrującego, czasem chyba jednak nadmiernie, wywód poety – możemy odnaleźć jedynie w sobie, jesteśmy bowiem bytami wędrującymi (tak, oczywiście, sięga Karpowicz po koncepcję *homo viator* Gabriela Marcela) i wszystko, co pozwala przeczuwać siłę “czynnika aleficznego” (określenie Karpowicza) w istocie mieści się w nas, bytach, które wszystko co swoje, noszą ze sobą...

\* \* \*

Bo jest tak, że kiedy już dotkniemy Alefa, to wtedy można powiedzieć na przykład tak:

ujrzałem wszystkie lustra planety i żadne nie rzucało mojego odbicia, ujrzałem na tylnym dziedzińcu przy ulicy Soler te same płyty, które trzydzieści lat wcześniej zobaczyłem w sieni pewnego domu na Fray Bentos, ujrzałem winne grona, śnieg, tytoń, złoża metali, ujrzałem parę wodną, [...] ujrzałem w Inverness pewną kobietę, której nie zapomnę, ujrzałem gwałtowną fryzurę, wyniosłe ciało, ujrzałem raka na piersi [...], egzemplarz pierwszego angielskiego przekładu Pliniusza [...] <sup>14</sup>.

Albo tak:

[...] a tam zaczyna się po prostu Solec, Wygwizdów, Sulejów, Husi, Lubenice i biegnie tam linia kolejowa ze Stróż do Tarnowa, i jadą czerwone wagony z Koszyc, i jest tam wszystko, co już było, lecz trwałe, niezniszczalne i bez końca, i jest tam nawet ta sobota sprzed paru dni, gdy jechaliśmy doliną Hornadu, znów u stóp napowietrznej

---

13. Tymoteusz Karpowicz, “Skrzydlaty Alef”, w: *Eseje*, t. 3, red. Joanna Roszak (Wrocław: Warstwy, 2020), 318.

14. Borges, “Alef”, 143.

cygańskiej wsi, ale tym razem cuda działa się w dole, na płaskim wygonie między idącą wysoko szosą a rzeką<sup>15</sup>.

Karpowicz i Stasiuk ruszyli w dalszą drogę. Zostałem przez chwilę w Solcu, bo ujęła mnie postawa J., która postanowiła przerwać kołowrót bycia *homo viator*. I sprawdzić, jak trwała jest ta “kulka”, która może przyśnić się każdemu z nas. A którą J. wyśniła, a ona przyprowadziła ją właśnie tutaj, do jakiegoś początku.

\* \* \*

Mógłbym tu zostać dłużej. Wsłuchiwałbym się w opowieści żywych o “Kinie” i jego wszystkich porankach. Byłby z tego niezły katalog. Niechby odcisnęło się tylko kilka uśmiechów, jakie napotykam u starszych ludzi, którzy wspominają to miejsce. (Zresztą może odezwą się mejlowo różni napotkani ludzie, którym pozostawiłem po sobie zarówno adres, jak i lekką konsternację, nostalgiczne westchnienie i nieme pytania: “po co temu człowiekowi te ścinki wspomnień?”).

Wczoraj w nocy oglądałem pusty Solec. Była północ i wszystko lekko skrzepło. Nawet światło ulicznych latarni, które tworzą taki długi szpaler, więc jakby się szło przez elizjum, bo właśnie te rozproszone, zimne smugi jak całun wszystko prześwietlają i kryją. No i jeszcze to, że nikogo na tym świecie, o tej porze. Obszedłem miasteczko wokoło, kończąc pod Artystyczną – bardzo chciało pokazać, że potrafi ujmować i podbijać kosmiczną samotność. Znieruchomiało i wabiło głośną, i powidokami. Znów było stare, a te uzdrowskie dekoracje – to tylko tak dla niepoznaki. Można było wszystko rozmontować i zrobiłaby się ta sama pustka co wtedy, może jak zawsze. Za kościołem, w metalicznym blasku pełni roztopiały się kontury rozrzuconych domostw, które wydawały się powkładane w ziemię byle jak i na chybił trafił, że dalej nie wiadomo, gdzie były granice ludzkiego. Takie miałem wrażenie za pierwszym razem, takie i teraz.

\* \* \*

Ostatnie chwile w Artystycznej. Siedzimy przy latte. J. nagle odchodzi, a po chwili wraca z szarlotką, wruszam się, dziękuję, zajadam, a J. wyraźnie się rozkręca: uruchomiła dzisiaj swoich informatorów, którzy dokładali swoje cegiełki, gdy “Kino” powstawało. (Teraz zresztą też budują je od nowa – ze

---

15. Stasiuk, *Jadąc*, 316.

strzępków wspomnień). Każdy pamięta nieco inaczej, że zaczęli w pięćdziesiątym ósmym albo wcześniej lub troszkę później, ale że robota szła, planu wprawdzie nie było (wszystko miała zatwierdzić Rada Narodowa, więc nikt o nic nie pytał, budowało się), ale już w sześćdziesiątym pierwszym świętowano huczne otwarcie. Wreszcie możemy porzucić tropy z tym oryginalnym art deco i międzywojniem.

Mówi dużo i szybko, takiej jej jeszcze nie słyszałem. Pamięta jeszcze, że był woźny, który przeklinał pięknie, “do stu galicyjskich piorunów” (ciekawe, czym wyróżniały się te galicyjskie), zrzucając młodziaków z drabin, które przystawiali do bocznej pierzei “Kina”, żeby podglądać oficjalnie im niedostępne filmy, takie z momentami. Siedzimy dobrą chwilę, rozmowa faluje, lecz nieuchronnie zmierza ku milczeniu, gdy nagle J. podnosi wzrok, zrobiła tak wszystkiego dwa trzy razy dotychczas, znać, że będzie o tym, co istotne: mówi, że decydujące były jednak... lody, ciułała i chachmęciła pieniądze na gałkowe. Siadywała na murku przy placu z “Kinem”, zjadała śmietankowe i widziała rejwach, radość, tłum. Nie, to nie żadna komunonostalgia. Bo potem, jak wróciła ze Szwecji, to uderzała ją pustka. “Pomyślałam, że chcę, aby znowu byli tutaj ludzie, żeby mieli gdzie spędzać razem czas. Te obrazy, galeria – to dużo później”.

Wchodzę na antresolę, skąd dowodził operator ze skłonnościami, jak się później okazało, do chronicznej nostalgii, którą trzeba było wreszcie uśmierzyć. Wiszą tu prace artystów związanych z Galerią Sztuki ORION, o której J. z dumą opowiada. Na jednym z nich à la Beksiński, spogląda na mnie oko ubrane w mnisi płaszcz, tuż obok, na drugim, ostrze przecina bryłę wieży, przez którą ostatecznie pomieszano języki.

Dopijam latte, mrużę oczy, patrzę przez okno z galerii na plac przed “Kinem”: mała J. wspina się na palce, żeby dosięgnąć lady, po chwili siedzi na murku, gałka śmietankowych kończy się za szybko, więc wpatruje się w wielkie podłużne okno nad dwuskrzydłowymi drzwiami, gdzie na obrotowym trójno-gu przesiaduje ten pan, który wyświetla dla niej na ścianie te wszystkie bajki.

\* \* \*

Rozmawiamy godzinę i nie mamy dość. Straciłem nadzieję na kontakt, ale teraz słyszę w słuchawce głos, który chce umacniać istnienie, a żywi się zdziwieniem (to słowo powtarzamy niemal bezwiednie). Wojciech Prażmowski mówi pewnie i w jakiś niezwykły sposób. Mam wręcz wrażenie, że jego narracja, w której tak wiele się wyświetla cudownych drobiazgów, działa analogicznie do jego fotografii – jest dyskretnym protestem wobec tyranii Czasu, upartym,

ale jednocześnie łagodnym, pełnym ufności w magiczną sztukę ocalania, no i, oczywiście, bo inaczej się właściwie nie da – pogodzenia. Kiedy wreszcie pora kończyć, bo wieczór się nachylił, wiem, że przygoda z “Kinem” jeszcze się nie skończyła. To też dobry znak, w końcu chodzi o restaurowanie bycia, jego pomnażanie. W eseju “Wojciecha Prażmowskiego pojedynek z czasem” Marek Zieliński już na samym początku notuje, że fotografia Prażmowskiego jest w istocie sprzeciwem wobec procesu “zastygania i gaśnięcia, prowadzącego do Nicości”<sup>16</sup>. Od pierwszego spojrzenia, od pierwszych słów wymienionych z artystą – nie mam wobec tego wątpliwości choćby najmniejszych.

\* \* \*

Wpatruję się w fotografię, którą nazajutrz dostaję od Pana Wojciecha. Widać na niej fotografa stojącego obok własnoręcznie zmajstrowanej przyczepki do Peugeota, na której zamocowana jest motorynka, którą WP objeżdżał Polskę powiatowo-gminną u progu millenium, dokumentując znikanie i zastygnięcie, w jakim trwaliśmy w oczekiwaniu na Europę, Unię, koniec starożytności i początek czegoś, czego i pragnęliśmy, i obawialiśmy się wielce. Z tego objazdu powstał cykl *Biało-czerwono-czarna*, prezentowany w wielu galeriach i muzeach w roku pierwszym tego tysiąclecia. Ponad 200 monochromatycznych fotografii, na których to, co chciało już zaznać ukojenia za sprawą niebycia, ale artysta na to nie pozwolił.

Cykl tych fotografii – czytam w tekście, który Wojciech Prażmowski napisał jako autorskie wprowadzenie do wystawy – sprawia często wrażenie *katalogu martwych natur*. Nie ma tu człowieka, choć to tylko pozory. Za każdym sfotografowanym przeze mnie obiektem, miejscem, ktoś jednak stoi: twórca, architekt, konstruktor, wykonawca, gospodarz posesji. Bez względu na ich wartość, jakość, czy nasze oceny, dzieła te nie pozostają anonimowe. Każde więc, posiada swą sygnaturę<sup>17</sup>.

Czytam i myślę po kolei: o J., o WP, i o AS, a także o tych, których już nie zmieściłem w tym tekście, a którzy na miejscu odwijali przede mną, spontanicznie i z radością, tasiemki ułamkowych wspomnień.

Prażmowski dodaje jeszcze w tekście do katalogu i te piękne zdania o rzadkim w sumie okazie – artyście słuchającym. Warto je przepisać:

---

16. Marek Zieliński, “Wojciecha Prażmowskiego pojedynek z czasem”, w: Wojciech Prażmowski, *Fotografie z lat 1987–1997* (Warszawa: Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, 2002), 4.

17. Prażmowski, *Fotografie*, 4.

Podróże które odbywałem na motorowerze, były też ważne z racji spotkań z ludźmi; rozmów z nimi, słuchania. Do tego należy jeszcze dodać ich autentyczny zachwyty i pewnego rodzaju szacunek dla *przybysza z aparatem fotograficznym*. Tam, w małych, niekiedy zupełnie zapomnianych miejscach, które zwykliśmy czasami pogardliwie nazywać prowincją, kryje się jeszcze – może trochę naiwny – ale jednak, zachwyty, wiara i szacunek dla fotografii i fotografa. Jest też zachowana i nadal przechowywana spora doza odświętności dla fotografii<sup>18</sup>.

\* \* \*

Wszystko zadziało się latem dziewięćdziesiątego dziewiątego. Tak było w Solcu, do którego Pan Wojciech dotarł w czas kanikuły. Było sennie popołudnie, pył wirował w powietrzu i czuć było gorący oddech bezwładu. Przed wszystkim – pustka. Niezwykła, jakby miasteczko i kuracjusze wyprowadzili się z życia, porzucili sprzęty i roboty, i po prostu odeszli. Na placu przed “Kinem” stał wysłużony autosan z zapuszczonym silnikiem a w środku nikogo, nawet błękitnego szofera z obrazu Andrzeja Wróblewskiego. Miała obowiązywać elementarna zasada: jedna klatka i dalej, na motorynkę i w drogę. Ale artysta tutaj ją złamie. “Musiałem mieć ten autobus i widma, więc pstryknąłem po raz drugi. Powinno gdzieś być, będę szukał”.

Być może pędził tak artysta, aby zdążyć – pamiętam lato 1999, bardzo upalne, suche, dobry klimat do czucia i studiowania przesileń, zaklinania, żeby widzialne się nie rozpadło – bo może odpalał motorynkę, a za nim rzeczywistość wystawiała sobie *carte blanche*, wszystko implodowało w białą dziurę? A czy zatrzymał się tutaj na dwa kadry, bo czuł, że w tym miejscu już był, że miał się tutaj znaleźć, że musiał już wcześniej zobaczyć fotografię, którą miał tutaj wykonać?

Czasami wydaje mi się, że niektóre moje fotografie – wyznaje Prażmowski – już kiedyś widziałem. Nie wiem, kiedy to było, ale są mi zaskakująco znajome i bliskie. Tak jakbym tam był, stał w pobliżu i przyglądał się. Na potwierdzenie, że naprawdę tam byłem, że wszystko już kiedyś zdarzyło się – pozostało mi kilka obrazów (właściwie ich strzępy i okruchy), które teraz przywołuję<sup>19</sup>.

\* \* \*

Trudno mi porzucić ten kadr, dorysowuję w wyobraźni kwadratową bryłę Autosana, widzę chmurę unoszącą się z rury wydechowej. Zapuszczony silnik

---

18. Prażmowski, *Fotografie*, 6.

19. Prażmowski, *Fotografie*, 4.

narusza tkankę prześwieconego popołudnia, ale dodaje tej scenie napięcia, grozy i ciężaru. Powinno zacząć się za chwilę życie, szofer wynurzyć zza winkła. Ale jakoś na razie nic nie chce się zadziać, posunąć naprzód, żadnego *elan*, żadnego *vital*. Jeśli życie, to rzeczywiście jakiś strumień, to raczej nie tutaj. I ten upał, prawie czuć, jak blakną litery, zwija się z gorąca papier w gablocie, odsłaniając arabeskę dziwnego rysunku, który na chwilę wypełził na powierzchnię. Co tu się wyprawia? – myśli może Pan Wojciech, zdejmując “Kino”, bo trzeba popchnąć rzeczywistość, odpalić motorynkę i podryfować w stronę kolejnych niepewnych siebie rzeczy. Czy nie obawia się, że gdy wyjdzie później z ciemni okaże się, że fotografia będzie tylko pustą, białą kartką? Muszę o to spytać.

\* \* \*

Cykl *Biało-czerwono-czarna*, z którego pochodzi fotografia “Kina”, poprzedza etap poszukiwań wpisanych w fascynujące zestawienia ulotności tego, co ludzkie, z trwałością Biosu. Zdjęcia Prażmowskiego mają palimpsestową naturę, rozsypujące się artefakty okalają ramy z naturalnych kompozycji, przez które czasem ledwie przeziiera ludzki drobiazg. Dopiero w B-c-c obraz konkretnie stanie w całej swojej i okazałości, i kruchości. Ale jedno się nie zmienia: fotografie Prażmowskiego – to bycie oko w oko ze Śmiercią, Kresem, żarłocznością Chronosa. Cóż, owo napięcie między pragnieniem trwałości a nieuchronnością ubywania i groźbą całkowitego zniknięcia jest przecież – jak pisali i Barthes, i Sontag – wpisane w samą istotę tej sztuki. Artysta-fotograf walczy z niezbywalną czasowością błysku bycia, z mgnieniem oka, na jakie bytuje wszelka istnieniowość. Posługując się właśnie językiem świetlistych refleksów, rysuje smugami światła, które z kolei mówi do nas wtedy, gdy na chwilę odcina się od cienia i czerni.

Powiększam właśnie zdjęcie, które dostałem od Pana Wojciecha, które musiał widzieć Andrzej Stasiuk – najpewniej na wystawie w Warszawie przy Placu Zamkowym w Małej Galerii, w roku pierwszym; obstawiam zatem, idę o zakład, że stanął w takim razie przed “Kinem” w lutym 2002 – powiększam, aż rozpixselowany obraz balansuje na krawędzi wyrazistości: czy pod zrolowanym strzępem afisza znajdował się jakiś dziecięcy rysunek? A może to fragment poprzedniego ogłoszenia o tym, co było grane? Same palimpsesty... ta gablota, to miniatura ludzkiego zostawiania śladów, które pochłaniają nieuwagę, nieczułość, niepamięć. Ale Czas nie może tu zaznać satysfakcji – zdzierając, niweczając przedstawienia, jedno po drugim, nieustannie ujawnia kolejne obrazy, znikanie jest tutaj odsłanianiem jednocześnie. A na końcu w destylatorni gabloty – początek: arabeskowy ryt, którego już nic nie wytrawi.

Marek Zieliński mówi o umiejętności dynamizowania obrazu u Prażmowskiego, o “znamieniu płynności”<sup>20</sup>, ale ta cecha zupełnie nieobecna jest już w B-c-c. Jedna z uwag eseisty wydaje mi się jednak szczególnie cenna także w kontekście późniejszych projektów artysty: otóż zdaniem tego komentatora w sztuce Prażmowskiego “wszystko oczekuje na zmianę, wszystko już niedługo zniknie i będzie poddane cyklicznemu przemijaniu, które [...] wprowadzi nowe formy”<sup>21</sup>. Czyż nie tak jest właśnie z “Kinem”, które przycupnęło na krawędzi istnienia, wprowadzie zdaje się zanikać, ale jego nazwa chroni je przed rozkurzem, a skoro tak, to i ono skrywa w sobie obietnicę trwania, jest pudłem rezonansowym tajemnicy, skrytką dla wyobraźni, bowiem widziało przesuwające się obrazy całego świata i na ten świat pozwalało łąpać za sprawą swojego białego oka ekranu.

Łuszczy się farba na prześwieconym frontonie, twarz fasady przypomina już do pewnego stopnia maskę pośmiertną, zwija się i żółknie papier afiszy w gablocie, do wnętrza przez puste oczodoły okiennych otworów wdziera się wilgoć i wiatr, “Kino” ewidentnie zagrożone jest tą nieważkością, która sprawia, że trudno mu się oprzeć działaniu Czasu. Balansuje jeszcze wprowadzie na cienkiej linie granicy widzialności, zatem i bycia, wiemy jednak, że Nieuchronne już dopełzło nad krawędź. Ale przed rozplynięciem się w nicość chronią je ciemne obrysy: pionowe, pewne linie dachu, gzymsów, rynien, wlewająca się szerokim strumieniem grzywa wierzbowej fali, wreszcie prosty krój ciemnych równym rzędem ustawionych liter KINA – trwają w najlepsze, cień nadaje im ciężaru istnienia. Tu wprowadzie, przed “Kinem”, wszystko zdaje się zmierzać do prześwieconego milczenia, do końca, czuć nieomal w powietrzu pył upału, jakiś synonim wszelkiego kruszenia. Te ciemne gzymsy jednak pozwalają ostać się bryle budynku.

Pisanie i podróż w tej chwili też wydają mi się służyć tylko temu jednemu: ocaleniu.

## Bibliografia

Borges, Jorge Luis. “Alef”. W: *Historie prawdziwe i wymyślone*, przeł. Andrzej Sobol-Jurczykowski. Warszawa: Wydawnictwo MUZA, 1993.

20. Zieliński, “Wojciecha Prażmowskiego pojedynek z czasem”, 7.

21. Zieliński, “Wojciecha Prażmowskiego pojedynek z czasem”, 7.

- Fattal, Michel. *Logos: między Orientem i Zachodem*, przeł. Piotr Domański. Warszawa: Wydawnictwo IFiS PAN, 2001.
- Gadamer, Hans-Georg. "Mitopoetyckie odwrócenie w 'Elegiach duinejskich' Rilkego", przeł. Małgorzata Łukasiewicz. *Literatura na Świecie* 10 (1979), 7–18.
- Gajda-Kruk, Marta. "W Solcu kuracjusze nie będą się nudzić. Pójdą do... kina". <https://radiokielce.pl/484013/post-93838/> (12.02.2024).
- Karpowicz, Tymoteusz. "Skrzydlaty Alef". W: *Eseje*, t. 3, red. Joanna Roszak. Wrocław: Warstwy, 2020.
- Nieszczerczewska, Małgorzata. "Archiwum opuszczonych miejsc". *Kultura Współczesna* 4 (2011), 160–170.
- Paz, Octavio. "Portret Jorge Luisa Borgesa. Łucznik, strzała i cel", przeł. Grażyna Sławińska. *Literatura na Świecie* 12 (1988), 8–22.
- Platon. "Ion", przeł. Władysław Witwicki. W: *Ion. Charmides. Lizys*, przeł., wstępem i objaśnieniami opatrzył Władysław Witwicki. Kęty: Wydawnictwo ANTYK, 2000.
- "Pod drzewem". *Wojciech Prażmowski*, reż. Paweł Dusza. <https://www.youtube.com/watch?v=VuAouHSEDhE> (4.03.2024).
- Rybicka, Elżbieta. "Geopoetyka (o mieście, przestrzeni i miejscu we współczesnych teoriach i praktykach kulturowych)". W: *Kulturowa teoria literatury. Główne pojęcia i problemy*, red. Michał Paweł Markowski, Ryszard Nycz, 471–490. Kraków: Universitas, 2006.
- Sommer, Manfred. *Zbieranie: próba filozoficznego ujęcia*, przeł. Jarosław Merecki. Warszawa: Oficyna Naukowa, 2003.
- Stasiuk, Andrzej. *Jadąc do Babadag*. Wołowiec: Wydawnictwo Czarne, 2004.
- Zieliński, Marek. "Wojciecha Prażmowskiego pojedynki z czasem". W: *Wojciech Prażmowski, Fotografie z lat 1987–1997*, 5–8. Warszawa: Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, 2002.